

ZJEDNOCZONE PISMA

„Lwów i Wilno,” 42, Eton Place,  
Chalk Farm, London, N.W.3.

„Pod Prąd,” Case Postale 155,  
Fribourg 1, Suisse.



# POD PRĄD

PISMO POLSKIEJ MYŚLI NIEPODLEGŁEJ W SZWAJCARI



## CI, KTÓRZY CHCĄ ROZBICIA NIECH PODNIOŚĄ RĘKĘ

Jedyną drogą, która nam pozostała do odzyskania niepodległości, ostatnią stawką w grze jest utrzymanie na wygnaniu rządu legalnego polskiego, szanowanego przez wszystkich Polaków.

Rząd taki przez sam fakt swego istnienia spowodowałby zapewne powstanie rządów innych krajów z żelaznej kurtyny, z którymi rząd polski mógłby wejść w kontakt, względnie objąć wśród nich przewodnictwo.

Tak zorganizowane narody z żelaznej kurtyny stanowiąłyby dla Ameryki i Anglii jakiegoś kontrahenta, a nie byłyby tylko przedmiotem, z którym można zrobić, co się chce.

To też interesujące się Polską wiadomości zagraniczne nie chcą istnienia rządu polskiego na wygnaniu, tak jak nie chcą rządów rumuńskiego i węgierskiego, a wolać mieć reprezentację narodów z żelaznej kurtyny rozbitą na tyle partii i organizacji, ile jest klawiszów u fortepianu, aby sobie na nich wygrać swobodnie, co się im podoba.

To też zwracamy się oto do wszystkich Polaków na emigracji z wezwaniem: kto jest za rozbićciem, niech podniesie rękę.

— Ponieważ napewno nikt tej ręki podnieść się nie ośmieli, więc niechże wszyscy z tego faktu wyciągną uczciwe konsekwencje.

Zamiast wysuwać na plan pierwszy zarzuty, kontrowersje, dyskusje, niech każdy polityk pracuje w kierunku uniknięcia rozbićcia.

Wiemy, że rozbićcie jest bliskie, możliwe, ale wiemy także, że byłoby ono ostatecznym zaprzeczaniem sprawy polskiej. Dzieje się, dziecko polskie, młody człowiek, który za sprawę polską dał sobie poharatować kości, ma prawo teraz żądać od polniaków prawo teraz żądać od polniaków

stojących na stanowisku bezkompromisowej walki o odzyskanie Ziemi Wschodnich R.P. z głęboką troską rozważając ciężką sytuację polityczną, jaka się ostatnio wytworzyła w wewnętrznym życiu polskim na emigracji.

Rada wyraża nadzieję, że wielki cel odzyskania niepodległości i całości Rzeczypospolitej, przyswiecający całej emigracji polskiej, skłoni polskie czynniki polityczne do wyrównania istniejących różnic i pozwoli uniknąć rozbićcia, któreby było klęską dla sprawy polskiej.

CI, KTÓRZY PRZEWIDUJĄ, ŻE REPREZENTACJA POLSKA NA WYGNANIU ROZBIEJE SIĘ NA RZĄD LEGALNY I NA KOMITET JEDNOŚCI POWINNI SOBIE ZDAWAĆ SPRAWĘ, ŻE PRZECIEŻ TEN KOMITET ROZBIEJE SIĘ ZA KILKA MIESIĘCY. Bez pionu konstytucyjnego, prawnego, wszelka kooperacja stronnictw u nas rozbićcie się na pewno, będzie to tylko kwestia kilku miesięcy, no i kwestia działania agencji obcych.

Aby jednak rzetelnie zwać do jednności nie trzeba wszystkich światła gromadzić po jednej, wszystkich cieni po drugiej stronie. Dążmy do przytłumienia dyskusji, do znalezienia wspólnej platformy. Raz jeszcze: kto chce rozbićcia niech podniesie rękę.

CAT.

## ZJEDNOCZONE PISMA

Kojarzenie wszelkich poczynań w naszej obecnej sytuacji jest niewłaściwe ze wszech miar wskazanym.

Skojarzenie wysiłków w dziedzinie wydawniczej jest objawem dodatnim nie tylko ze względu na materialne umocnienie pism, ale również i na zbliżenie poglądów w zasadniczych sprawach.

„LWÓW I WILNO” oraz „POD PRĄD” walczące dotąd w różnych satach o te same cele, od dzisiaj będą walczyć razem pod prąd o Lwów i Wilno.

Stefan Tyszkiewicz

## NABOŻENSTWA ŻALOBNE

W dniu 11-go maja 1949 r., o godz.

## BĘDZIE INACZEJ...

„Dziennik Polski” (Kraków) aż mdleje ze szczęścia, pisząc o zawarciu przed 4 laty układem: „o przyjęciu i wzajemnej pomocy pomiędzy rządem Polski ludowej i rządem Związku Radzieckiego. Umowa ta nie pozostała czymś frazesem, ani też bagażem dyplomatycznym.”

Niestety, nie pozostała. „Dzisiaj ten stan rzeczy wydaje się każdemu zupełnie normalny. Wydaje się, że nigdy nie powinno być i nie mogło być inaczej.”

Bywało inaczej, bywało. N.p. w sierpniu 1920 roku. I będzie inaczej i to dopiero wyda się każdemu normalne, słuszne i szczęśliwe.

„Czterolatnie doświadczenie uczy nas, iż jest ona przykładem zdrowej współpracy dwóch państw, opartej na pełnym poszanowaniu narodowych interesów, na równouprawieniu.”

Co to, to nie. W równouprawieniu nie wierzymy, dopóki Bierut nie „uwolni” Rosji i nie osadzi na Kremlu Mikołajczyka.

Wreszcie, nawiązując do podpisania Paktu Atlantyckiego w dniu 4-go kwietnia, gazeta komunistyczna pisze: „W tym samym dniu polscy robotnicy dali dowód głębokiego świadomości politycznego. Oto zespół fabryczny w Pustkowie uchwalił rezolucję w związku z paktem atlantyckim. Pierwszy punkt tej rezolucji głosi — zapisujemy się masowo do szeregów Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.”

Na prochy Marksa! Czemuż dopiero teraz dowiadujemy się o tym opinia światowa? Gdyby determinacja Pustkowa była znana wcześniej, nie doszłoby do podpisania Paktu Atlantyckiego...

## JAKO KOLUMBA

(a.) Obywatelka Maleniņa, kolchozniczka, odwiedziła Polskę, udzielając przy tej okazji dojakimś polskim nowoczesnym i pomysłowym rad:

„U nas dojarka jest odpowiedzialna za krowę i wszystkie roboty koło niej musi sama wykonać. Temu zawdzięczamy nasze rezultaty. Tym sposobem dojarka może „złębki charakter” bydłęcia, wiedzcie, co mu jest potrzebne, a co nie. To ostatnie jest bardzo ważne w hodowli. Takie metody ułatwiają zresztą i skracają sam czas pracy.”

Faszyzowskie dojarki polskie nie umiały złębki charakteru bydłęcia. Teraz potrafią, widząc w Polsce sowieckich oswojonych i sowieckich kolchozniczek. Szkoda tylko, że nie mogą ich doić...

zresztą nie propolską, lecz sowiecką — prowadził „Doktor” — okrągły, brzuskowaty Litauer; Polacy natomiast stworzyli salon, coś jakby załazek późniejszego „Allies Club’u”, który był ostatnią reduktą emigracji, już po deuznaniu rządu. Jak zawsze wśród rodaków, około setki urzędników musiało się podzielić na kilka grup czy facji: lecz — i to było urokiem Strattonu — skupiały się one nie dokoła endeków czy socjalistów, sanatorów czy ludowców, lecz dokoła koleżanek, z których każda miała swój dwór, wielbieli, wiernych i detraktorów. Wśród tyłu dam, Stroński zachowywał bezstronną, dobroduszną pozycję, chwalał wdzięki wszystkich, nie ulegając żadnym, składając co drugiej prezenty na imienny, wyrozumiały a dobrośliwy i pełniający w tym świecie rolę, która nigdy w Warszawie przypadła „Margrabinie”: arbiter, pojednawca, niekiedy pocieszyciel, a w końcu przyjaciel wszystkich — może jedyny minister prawdziwie przez podwładnych lubiany, jakiego spotkałem w życiu.

Kot nie pasował do tego towarzystwa. Człowiek mafijny, miał dar wprowadzania atmosfery kłótni, podejrzeń, donosów, szpiegowania. Ale — i to trzeba podkreślić, bo mało kto wie — Kot miał doskonale formy towarzyskie — nie na próżno, zanim doszłował do ludowców — przez tyle lat oierał się o Stańczyków. Ze swą minką wiejskiego proboszcza odsłuchującego przez dziurkę od klucza raczej bawił, niż raził. Wprowadzenie do Strattonu atmosfery karczy czy stajni było zasługą wiceministra, którego ku zdumieniu wszystkich Kot wymyślił, Jana Drohojowskiego.

Czasami w prasie nazywa się Drohojowskiego „Czerwonym hrabią.” Takim jest Karolyi — magnat węgierski, który od 30 lat kuma się ze skrajną lewicą. Ale Drohojowski nie jest ani czerwony, ani hrabia. To wyrodek, szpicel, kanalia — to może najobrzydliwsza kreatura, z którą danym mi było się osobiście bliżej zetknąć. Przy czym kieszonkowego formatu — nie zdrająca, nie szpieg nawet, tylko delator, konfident i drobny prowokator, malpa złościwa, marząca tylko o tym, by ugryźć rękę, która go karmi.

W każdej grupie społecznej istnieje obok formalnej hierarchii prawdziwa, a dla niej tajemniczo ukryta. Oto wielki redaktor: ale wszyscy wiedzą, że jest parawanem polityki. Oto potężny minister: ale wiadomo, że ramol utrzymania się przy tece tylko jako zastłona

## Prof. Stroński znów bałamuci

„Pon się narodowo bałamuci...  
Wyspiński

Dnia 29 kwietnia w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” prof. Stroński pod skromnym tytułem „List Liebermanna” znów bałamuci.

Raz jeszcze wyłożymy rzecz całą łopatą do głowy:

Prof. Stroński i jego przyjaciele polityczni w tej liczbie gen. Sikorski po przyjeździe do Paryża w 1939 r. — jak to opisywałem w swoich „Latach Nadziei” — zastanawiali się czy stworzyć komitet narodowy, czy też opowiedzieć się za legalnością państwową Rzeczypospolitej. Uznano, że jedynie legalność da Polakom możliwość wykorzystywania umów sojuszniczych z Francją i Anglią. Ale jak tu stanąć na gruncie legalności, kiedy Prezydent Mościński przekazał swą władzę Raczkiewiczowi, który był „sanatorem”? Wobec tego prof. Stroński uzyskał od Prezydenta Raczkiewicza oświadczenie, że swoje uprawnienia konstytucyjne będzie wykonywał w porozumieniu z Premierem. Później na określenie tego oświadczenia używano wyrazów „umowa paryska” lub „paryskie pacta conventa”.

Tym premierem był wówczas gen. Sikorski i wówczas nie było jeszcze żadnych zorganizowanych stronnictw polskich w Paryżu. Dopiero później przyjechali do Paryża pp. Bielecki, Mikołajczyk, Ciołkosz i inni. Premier Sikorski początkowo sam sobie stanowiął kto w jego rządzie będzie reprezentował socjalistów, narodowców etc.

Prof. Stroński był przyjacielem gen. Sikorskiego i autorem umowy paryskiej. Stąd istotą umowy paryskiej było to, że de facto uprawnienia Prezydenta przynosiła ona na premiera. Wynikało to z zbiegu różnych okoliczności, natury historycznej i personalnej. Prezydent Raczkiewicz istotnie reprezentował reżim, którego autorytet był wówczas osłabiony przez wyniki kampanii wrześniowej, a poza tym Prezydent Raczkiewicz osobiście nie dorównywał gen. Sikorskiemu dynamiką, ruchliwością

Prof. Stroński bronią umowę paryską nie chce zrozumieć, że została ona zmieniona w układzie, którego znaczenie chce pomniejszyć nazywając go „listem” Liebermanna. Możemy także używać tej nomenklatury z tym, że ten list był wykładnią stanowiska wszystkich stronnictw wówczas politycznie czynnych. Prof. Stroński w tym sporze jest typowym „tym trzecim”. Chce pomniejszyć uprawnienia Prezydenta, ale nie broni uprawnień stronnictw, a tylko uprawnień premiera, do których jednak premierzy, którzy nastąpił po gen. Sikorskim, nigdy nie pretendowali.

Historycznie owo przelanie prentencji premiera na uprawnienia stronnictw i zmiana merytoryczna treści umowy paryskiej przedstawia się jak następuje:

Oto w protokóle Rady Ministrów z 20 lipca 1940 znajdujemy ustęp następujący:

Sprawa porozumienia osiągniętego pomiędzy Prezydentem i Rządem po objęciu urzędu Prezydenta będzie w jego inicjatywy wszechstronnie rozważana przez Prezydenta, Rząd i Stronnictwa.

Wspomniane w powyższym ustępie: „porozumienie osiągnięte” to właśnie umowa paryska. Jak widzimy w dniu 20 lipca 1940, zaraz po powrocie gen. Sikorskiego do premierostwa po krótkotrwałym urzędowaniu Augusta Zaleskiego w charakterze premiera Rada Ministrów postanowiła, że umowa paryska będzie przezręczana.

Innymi słowy nominacja Augusta Zaleskiego na premiera została przez Prezydenta Raczkiewicza cofnięta, ale skutkiem tego kryzysu była zgoda Sikorskiego na rewizję umowy paryskiej, z czego skorzystały stronnictwa.

Revizja ta uwidoczniła się w owym „liście” Liebermanna z 22 października 1940, który zmienił umowę paryską w sposób nader istotny. Przede wszystkim zamiast zasady „porozumienia z premierem” wprowadził zasadę „konsultacji stronnictw”, po drugie oświadczył, że „nie chce pozabawiać Głowy Państwa prawa mianowania szefa rządu w granicach prawa konstytucyjnego”

muja w sprawie umowy Pana Prezydenta z Generałem Sikorskim, odnoszący się do wykonywania prerogatyw Głowy Państwa — stanowisko dotychczasowe Rządu”.

Cóż te wyrazy oznaczają? — Czy nawrót do umowy paryskiej, jak tego chce prof. Stroński. Ale w takim razie wszystko to, co było uprzednio w liście Liebermanna nie miało by żadnego sensu. Nie — te wyrazy nie mówią o „umowie paryskiej”, lecz tylko o „stanowisku rządu w sprawie umowy między Raczkiewiczem a Sikorskim”. Styl jest istotnie tamudyczny, ale chodzi tu tylko o to, że „stanowisko rządu” było przeciwne temu, aby Prezydent mógł mianować nowego premiera zupełnie samodzielnie bez znoszenia się z kimkolwiek. Czyli, że chodzi tu o to, że list Liebermanna nakłada na Prezydenta pewne ograniczenia przy wykonywaniu odpowiedniego punktu art. 13 konstytucji, ale nie o to, jak to sobie życzy prof. Stroński, że Liebermann w piśmie napisał jedno, a w ostatnich punktach odwołał to, co napisał uprzednio i powrócił w całości do umowy paryskiej.

Wobec jednak sprzeczności listu Liebermanna z umową paryską należy może zapytać, który z tych aktów nas obowiązuje.

— Oczywiście list Liebermanna.

— Dlaczego.

Dlatego, że w prawie obowiązują dwie zasady. Jedna to lex posterior derogat priori, druga, że lex specialis ma pierwszeństwo przed zasadą ogólnikową. Otóż list Liebermanna w stosunku do umowy paryskiej to niewątpliwie i lex posterior i lex specialis.

Dodajmy do tego, że umowa paryska była wyraźnie sprzeczna z konstytucją. Tak samo jak sędzia nie ma prawa oświadczać, że wyroki będzie wydawał w porozumieniu z prokuratorem, tak samo prez. Raczkiewicz nie miał prawa oświadczać, że obowiązek zwierzchniej kontroli nad premierem, który konstytucja wkłada na niego, będzie wykonywał w porozumieniu z tymże premierem. Natomiast list Liebermanna wprawdając konsultację stronnictw, ale cofający się przed ograniczeniem prawa głowy państwa w wykonaniu prawa konstytucyjnego nie był — moim zdaniem — sprzeczny z literą konstytucji.

Powstaje pytanie, czy list Liebermanna wystarcza nam w 10 roku emigracji? — Nie, nie wystarcza, gdyż list Liebermanna mówił o stronnictwach, ale nie mówił o jakie tu stronnictwa chodzi. Wtedy działały czynnie cztery stronnictwa, z których jedno, ludowe, wyjechało później do Bieruta, drugie, stronnictwo pracowników, z którego dwa grupy

Wiemy, że rozbieżność jest bliska, możliwa, ale wiemy także, że bytoby ono ostatecznym zaprzeczeniem sprawy polskiej. Dziewczyną, dziecko polskie, młody człowiek, który za sprawę polską dał sobie poharatąć kości, ma prawo teraz żądać od polityków, aby myśleli o uniknięciu rozbięcia, a nie pogłębianiu różnic w zaskakiwaniu siebie nawzajem. Nie wolno nam jest uwierzyć w konieczność rozbięcia i odrzucam tezę, że rozbięcia unikną się nie da.

Jednym z dowodów, jak ludzie na emigracji zdają sobie sprawę z konieczności utrzymania jedności jest to, że poniżej przytoczona rezolucja została na Radzie Związku Ziemi Północno-Wschodnich uchwalona jednomyślnie, chociaż do tej Rady wchodzi zarówno członkowie Stronnictwa Narodowego, jak i popierającej rząd premiera Tomaszewskiego członkowie Ligi Niepodległości.

Rada Naczelna Związku Ziemi Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej na posiedzeniu w dniu 27 kwietnia 1949 roku jednomyślnie uchwala, co następuje:

1) Rada Związku, grupująca ludzi o różnych przekonaniach politycznych,

„LWÓW I WILNO” oraz „POD PRĄD” walczące dotąd w różnych szatach o te same cele, od dzisiaj będą walczyć razem pod prąd o Lwów i Wilno.

Stefan Tyszkiewicz

## NABOŻEŃSTWA ŻALOBNE

W dniu 11-go maja 1949 r., o godz. 11-tej, w Kościele Brompton Oratory w Londynie, odbędzie się nabożeństwo żałobne za dusze Ofiar zbrodni Katyńskiej, za zmarłych w obozach i lagrach, oraz za wszystkich tych, którzy życie swoje oddali w obronie Ojczyzny.

Związki Ziemi Wschodnich R.P.

W dniu 9-go maja 1949 r., o godz. 10.30, odbędzie się w St. Matthew Church, Warwick Rd., Earls Court Sq. Corner, S.W.5., prawosławne nabożeństwo żałobne za dusze Ofiar zbrodni Katyńskiej, za zmarłych w obozach i lagrach, oraz za wszystkich tych, którzy życie swoje oddali w obronie Ojczyzny.

Związki Ziemi Wschodnich R.P.

## Z.O.P.

Związek Organizacji Polskich w Szwajcarii rozpoczyna wkrótce na zlecenie I.R.O. (International Refugee Organisation) rejestrację osób podlegających opiece tej organizacji. Formularze dostarczone zostaną zainteresowanym za pośrednictwem organizacji, do których należą.

## OD WYDAWNICTWA

Z dniem dzisiejszym pisma „Lwów i Wilno” (Londyn) oraz „Pod Prąd” (Fryburg szwajcarski) połączyły się.

Redagowany przez Stanisława Mackiewicza i Mieczysława Sangowicza wspólny tygodnik będzie się ukazywał pod dwiema dotychczasowymi nazwami.

Krok nasz, poddyktowany koniecznością zespolenia polskiej pracy prasowej na obczyźnie, a umożliwiony jednolita postawą ideową obu pism, będzie, mamy nadzieję, powitany z zadowoleniem przez czytelników.

Obecny układ pisma nie jest ostateczny. Rozdzielenie redakcji między Londyn i Fryburg nasuwa zrozumiałe trudności w pracy, dopiero praktyka pozwoli na ukształtowanie jej ostatecznych form. I opinie czytelników, które będą wzięte poważnie w rachubę.

## REDAKCJA

### DO CZYTELNIKÓW W SZWAJCARII

Połączenie „Pod Prąd” ze „Lwowem i Wilnem”, stanowiące poważny krok naprzód w rozwoju pisma, nakłada na redakcję nowe obowiązki. Postara się ona im sprostać.

Siłą rzeczy układ i dobór treści musi ulec daleko idącym zmianom. Zasadnicze działy będą jednak utrzymane. Tylko konieczność dotrzymania terminów w drukarni uniemożliwiła tym razem planową kompozycję połączonych pisma. Będzie to zrealizowane w numerze na ślepnym.

Dotychczasowym prenumeratorom „Pod Prąd” w Szwajcarii pismo będzie rozsyłane z Fryburga. Innym — z Fryburga albo z Londynu.

„Pod Prąd” staje się tygodnikiem. Oznacza to, że kwartalnie odbiorca otrzyma 13 numerów pisma, zamiast dotychczasowych 9. Mimo to nie podwyższamy prenumeraty; jeżeli wpłaty będą napływały nieco regularniej niż dotychczas, podwyżki uda się zapewne uniknąć i w przyszłości.

We wszystkich sprawach redakcyjnych i administracyjnych „Pod Prąd” należy się zwracać pod dawnym adresem.

## REDAKCJA

„LWÓW I WILNO” oraz „POD PRĄD” walczące dotąd w różnych szatach o te same cele, od dzisiaj będą walczyć razem pod prąd o Lwów i Wilno.

Stefan Tyszkiewicz

## DZIWIŃNY „BÓG”

### I DZIWIŃNY KSIĄDZ

Prasa reżimowa w Polsce zamieszcza na naczelnych miejscach wypowiedź osławionego ks. Jana Boultera, opętanego przez marksistów i kruszacego od dawna kopie w obronie Rosji Sowieckiej, Stalina i komunistów. Ale opętanie tego człowieka idzie jeszcze dalej. Piorunując na „podlegających wojennych,” którzy szukają atak na „pokojową Rosję,” pisze on:

„Ale pewien jestem, że dzisiaj Bóg nie chce wojny, że Bóg nie chce, aby bomby atomowe padły na Moskwę, że Bóg przeklina tych, którzy żywią myśli tak potworną.”

O, dziwny księżo. Jeżeli Bóg nie chce tego, to to nie nastąpi, więc po co cały krzyk? A poza tym ten „preklinający Bóg,” drżący o Moskwę, jakoś dziwnie nie pasuje do chrześcijańskiego o Nim pojęcia. Raczej do boga na Kremlu. Wtedy i jego niepokój i księda Boulter o losy Sowietów jest uzasadniony, a cała sprawa jasna.

## SYLWETKI

Jan Drohojowski uzasadniał w O.N.Z., w imieniu bloku sowieckiego, aresztowanie i proces Kardynała Mindszenty'.

Z prasy codziennej.

Bardzo się zmartwiłem, gdy po Strattonie gruchnęła wiadomość, że Stroński podał się do dymisji. Miałem wprawdzie, jak każdy urzędnik, ważne powody by twierdzić, że byłem przez niego ciężko skrzywdzony, bo to kiedyś, za broadcast o Piłsudskim, „w soldaty” mnie do dzikiej Szkołki wysłał, i kategorię służbową dał niską, i fułat, i to i owo. Ale wioletole doświadczenie mnie uczyło, że każda zmiana ministra jest zawsze na gorzej. Nie pomyliliem się. Po paru dniach niepewności, lansowania różnych kandydatów, stało się co stać się logicznie musiało: agenty Strattona przejął Kot, i popłoch ogarnął całą naszą urzędniczą drużynę.

Stratton — a przez to rozumien ministerstwo Informacji, które nadalowało ton licznym urzędem ulokowanym w tym falansterze — był od początku do końca instytucją tak swojską, że trzeba było wysiłku myśli, by sobie uprzytomnić, że się nie siedzieli na Wierzbowej czy Rymarskiej — cytadela nieprawdopodobnie pracowitego, nawet wyczerpującego nieróbstwa. Biegano, latano, konferowano, po pokoikach skrzypląły póża, stukwały maszyny do pisania — i z tego potopu bibuły, papieru, narad, nie wychodziło nic. Zadania były podzielone: istotną propagandę —

W każdej grupie społecznej istnieje obok formalnej hierarchia prawdziwa, a dla niewtajemniczonych ukryta. Oto wielki redaktor: ale wszyscy wiedzą, że jest parawanem tylko. Oto potężny minister: ale wiadomo, że ramol utrzymuje się przy tezie tylko jako zasłona dymana dla ambitnego podsekretarza stanu. Podobnie jest i z hierarchią towarzyską. Drohojowski ma jakiś niedźny tytuł austriacki, ale jego żona — bożala rodzina oddawna wypadła z tego, co się nazywało „towarzystwem” — on sam nie miał żadnych koligacji, żadnych stosunków, żadnych manier: od dzieciństwa był typowym człowiekiem zdeklasowanym. Hrabia o mentalności agenta policji obyczajowej, który nagle zrobił karierę. A jeśli chodzi o „czarwonosę” — to Drohojowski nigdy nie miał żadnych przekonań, zrazu czepiał się polity endeków, potem był morzowcem, potem ludowcem teraz jest pacholkiem P.P.R.'u. Dać mu okazję — i koryto — i będzie najczarniejszym faszystą.

Drohojowski rozpoczął swą karierę w Rzymie, jako sekretarz poselstwa. Wstąpił się tam donosami, które w Pałazzo Chigi składał na swego ówczesnego posła, Augusta Zaleskiego; a gdy ten, zostawszy ministrem spraw granicznych, wezwał go do Warszawy, by się oczyścić z zarzutów, Drohojowski (który się chelpi, że od 1918 r. w Polsce nie był) zwił do Nowego Yorku. Tam łagodny rząd polski powierzył mu redakcję „Poland'u,” małego miesięcznika propagandowego, który Drohojowski, rzecz jasna, położył. Tam też uśmiechnęło mu się szczęście: ożenił się z panną z Oklahomy, sierotą 18-letnią z 3 milionami dolarów. Przez parę lat Drohojowski o Polsce w ogóle słyszeć nie chciał — ale żona go wypędziła, a gdy wytoczył jej proces o alimenty dla siebie, przegrał sprawę z kretešem; i tyle brudów i zbrodni małżonka wyszło przy tym na jaw, że prasa sensacyjna przez szereg tygodni zajmowała się tym wyrokiem, tak jak dzisiaj używa na Heath'ie czy Haigh'u.

Bardziej rozeźlony niż kiedykolwiek, Drohojowski marzył o zemście. Jak on trafił do Kota i Sikorskiego nie mam pojęcia — bo przecież w Polsce go albo wcale, albo ledwo znali — ale od pierwszej chwili rządu emigracyjnego został oberस्पiłem naszej ambasady w Waszyngtonie. Ciecchanowski zdołał go wyrzucić — i Drohojowski udał się do Chin, po drodze pokumawszy się z Kotem w Kujbyszewie. I Kot aż z Czungkingu potrafił go ściągnąć do Londynu.

Miałem awersję do tego gnomu. Jego nominacja była okazją do jednego z rzadkich moich kontaktów z Kotem jako ministrem. Udałem się do niego, i oświadczyłem, że mam dla Drohojowskiego taki wstręt, iż nie mogłbym wytrzymać jakichkolwiek z nim rozmów: to też bądź zeżche polecić Drohojowskiemu, by się nigdy do mnie

Wniosek ten jest w rzeczywistości wnioskiem o to, by zbiegu różnic osobowości, natury historycznej i personalnej. Prezydent Raczkiewicz istotnie reprezentował reżim, którego autorytet był wyjątkowo osłabiony przez wyniki kampanii wrzesniowej, a poza tym Prezydent Raczkiewicz osobiście nie dorównywał gen. Sikorskiemu dynamiką, ruchliwością ani ambicjami. Skoro więc „umowa paryska” postanowiła, że uprawnienia głowy państwa będą wykonywane w porozumieniu z premierem, jasne było, że stroną czynną w tym porozumieniu będzie gen. Sikorski, a nie Prezydent Raczkiewicz.

Ten stan rzeczy nie był na rękę stronnictwom politycznym, przy najmniej większości z nich, ale jak użół powiedziałem większość szefów stronnictw nie była jeszcze przybyła do Paryża w chwili dochodzenia do skutku „umowy paryskiej”.

„Umowa paryska” o porozumieniu Prezydenta z premierem co do wykonywania wszelkich uprawnień głowy państwa wynikało, że również dymisjonowanie premiera musi być dokonywane przez Prezydenta w porozumieniu z premierem. Ten stan rzeczy uznał Prezydent Raczkiewicz za sprzeczny z logiką i zdrowym rozsądkiem i po przybyciu do Londynu w 1940 r. udzielił dymisji gen. Sikorskiemu bez... porozumienia z nim.

Powstała z tego burza i gen. Sikorski odwołał się do stronnictwa, aby go wzięły w obronę Stronnictwa istotnie poparły jego kandydaturę, ale później spowodowały zmianę umowy paryskiej z umowy mówiącej o porozumieniu Prezydenta z premierem na umowę mówiącą o porozumieniu Prezydenta ze stronnictwami, co było oczywiście o wiele bardziej logiczne.

nie wtrącał, bądź też zrezygnuje z posady. Kot lubiał, gdy jego urzędnicze klócił — to też słodko się rozpytywał co mam Drohojowskiemu do zarzucenia, a potem obiecał, że zabroni mu w ogóle się do mnie zwracać. To też z viceministrem przez 2 lata nie zamieniłem słowa.

Kot zresztą zawiódł się na Drohojowskim. Kot nigdy nie był politykiem; powiedziałabym, że go polityka nawet nie interesowała, ale miał wybitny talent do rozgrywek i gier, i szybko zorientował się, że w tych pracach Drohojowski jest i nieczestny, i nieśljalny. Jedyną ambicją Drohojowskiego było zostać „Drymmerem” MSZ, by móc zemścić się na różnych ludzich — jakąż marna i podła to ambicja, ale tak charakterystyczna dla tyłu ludzi zych a głupich i niezdolnych do jakiegokolwiek umysłowej pracy.

Drohojowski, oczywiście, natychmiast doszłusował do Mikołajczyka. Swoim zwyczajem nie wrócił do Polski, lecz objął z łaski ludowcowych protektorów

Wniosek ten jest w rzeczywistości wnioskiem o to, by zbiegu różnic osobowości, natury historycznej i personalnej. Prezydent Raczkiewicz istotnie reprezentował reżim, którego autorytet był wyjątkowo osłabiony przez wyniki kampanii wrzesniowej, a poza tym Prezydent Raczkiewicz osobiście nie dorównywał gen. Sikorskiemu dynamiką, ruchliwością ani ambicjami. Skoro więc „umowa paryska” postanowiła, że uprawnienia głowy państwa będą wykonywane w porozumieniu z premierem, jasne było, że stroną czynną w tym porozumieniu będzie gen. Sikorski, a nie Prezydent Raczkiewicz.

Ten stan rzeczy nie był na rękę stronnictwom politycznym, przy najmniej większości z nich, ale jak użół powiedziałem większość szefów stronnictw nie była jeszcze przybyła do Paryża w chwili dochodzenia do skutku „umowy paryskiej”.

„Umowa paryska” o porozumieniu Prezydenta z premierem co do wykonywania wszelkich uprawnień głowy państwa wynikało, że również dymisjonowanie premiera musi być dokonywane przez Prezydenta w porozumieniu z premierem. Ten stan rzeczy uznał Prezydent Raczkiewicz za sprzeczny z logiką i zdrowym rozsądkiem i po przybyciu do Londynu w 1940 r. udzielił dymisji gen. Sikorskiemu bez... porozumienia z nim.

Powstała z tego burza i gen. Sikorski odwołał się do stronnictwa, aby go wzięły w obronę Stronnictwa istotnie poparły jego kandydaturę, ale później spowodowały zmianę umowy paryskiej z umowy mówiącej o porozumieniu Prezydenta z premierem na umowę mówiącą o porozumieniu Prezydenta ze stronnictwami, co było oczywiście o wiele bardziej logiczne.

nie wtrącał, bądź też zrezygnuje z posady. Kot lubiał, gdy jego urzędnicze klócił — to też słodko się rozpytywał co mam Drohojowskiemu do zarzucenia, a potem obiecał, że zabroni mu w ogóle się do mnie zwracać. To też z viceministrem przez 2 lata nie zamieniłem słowa.

Kot zresztą zawiódł się na Drohojowskim. Kot nigdy nie był politykiem; powiedziałabym, że go polityka nawet nie interesowała, ale miał wybitny talent do rozgrywek i gier, i szybko zorientował się, że w tych pracach Drohojowski jest i nieczestny, i nieśljalny. Jedyną ambicją Drohojowskiego było zostać „Drymmerem” MSZ, by móc zemścić się na różnych ludzich — jakąż marna i podła to ambicja, ale tak charakterystyczna dla tyłu ludzi zych a głupich i niezdolnych do jakiegokolwiek umysłowej pracy.

Drohojowski, oczywiście, natychmiast doszłusował do Mikołajczyka. Swoim zwyczajem nie wrócił do Polski, lecz objął z łaski ludowcowych protektorów

Powstała z tego burza i gen. Sikorski odwołał się do stronnictwa, aby go wzięły w obronę Stronnictwa istotnie poparły jego kandydaturę, ale później spowodowały zmianę umowy paryskiej z umowy mówiącej o porozumieniu Prezydenta z premierem na umowę mówiącą o porozumieniu Prezydenta ze stronnictwami, co było oczywiście o wiele bardziej logiczne.

Prof. Stroński zarzucił mi, że nie rozumiem różnicy pomiędzy porozumieniem, a porozumiewaniem się i pisze wyniosłość: „kto nie rozumie tej różnicy”. Otóż niestety w prawie oba te pojęcia nie są ściśle rozróżnione. W umowach międzynarodowych „po rozumieniu” oznacza zwykłe wymianie zdań, a nie obopólną zgodę. A już w liście Liebermanna zupełnie wyraźnie „porozumienie” oznacza tylko konsultację, gdyż raz tam czytamy wyraz porozumienie, a zaraz później wyraz konsultacja.

Jeśli zaś chodzi o przesilenie ostatnie, to Prezydent konsultacje odbywał w ciągu dwóch miesięcy. Zgody istotnie nie osiągnięto, ale nie osiągnęły jej stronnictwa między sobą. Przechybiała mianowania gabinetu Tomaszewskiego nie było nieporozumieniem Prezydent — stronnictwa, lecz nieporozumieniem pomiędzy stronnictwem Narodowym, a Stronnictwem Pracy.

Cat.

ROBACZYWE WOJSKO. W armii francuskiej 950 oficerów należy do partii komunistycznej, podaje brukselska agencja „Cillac.” Pełny ich spis jest rzekomo w posiadaniu ministra obrony narodowej, p. Ramadier. Lepiej spis wyrzucić do kosza, a przed tym komunistów z wojska. Po co trzymać jedno i drugich?

się otaczać ludźmi bez czci i wiary ulegając odwiecznemu złudzeniu, że z lotrzyków można zrobić „swoich” ludzi. Ci zaś zawsze swych bossów wykłaniają.

Nie wiem czy Modzelewski i Katz — Suchy i ich sowieccy mocodawcy z N.K.W.D. są równie łatwiwni jak Kot i Mikołajczyk. Jeśli będą równie naiwni, i Drohojowski wrzeszcząc osiadł w Waszyngtonie jako „ambasador,” znacznie on i ich natychmiast zdradzać — to jest u niego zwyrodnienie, którego nigdy się nie pozbędzie. Na czyja rzecz? Myślę, że amerykańskiego wywiadu, jak to zrobił jego przyjaciel, Modelski, z którym tyle cech ma wspólnych.

Koniec jego kariery będzie wyglądał jak w tej anegdotce z sądu rosyjskiego: „Tak oto wy etot krupnyj przestupnik?” pyta sędzia. „Kakoj tam krupnyj przestupnik, wasze blagorodje?” odpowiada oskarżony, „prosto mielkij żulik”.....

Krzysztof Nienaski

## TEŚKNOTA OSOBISTA

Z okazji uregulowania spraw Indii, które mimo, iż pozostały republiką, pozostały jednocześnie w łonie imperium brytyjskiego, chociaż więzią tego ostatniego jest monarchia — w jednym z dzienników angielskich ukazała się karykatura przedstawiająca premiera Attlee, nakrywającego koronę królewską cywilnym melonikiem. Komentator B.B.C. przemawiając po francusku, a więc w audycji przeznaczony dla kontynentu, nie zważał się wspomnieć o tej karykaturze, oświadczaając, iż jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydać się może pozbawiona respektu dla korony, z drugiej jednak strony dowodzi, iż przywiązanie do króla, dynastii i korony jest tak wielkie, że — „możemy sobie pozwolić na podobne dowcipy”.

Słuchając tego komentarza, przeciągam się z tęsknotą na myśl o tym wszystkim na co sobie mogą jeszcze pozwolić brytyjczycy, mimo częściowej racjonalizacji produkcji i postępowej etatyżacji życia.

Skończyłem właśnie czytanie książki Liddell Harta p.t.: „The other side of the hill”, poświęconej wojnie ubiegłej z niemieckiego punktu widzenia, a raczej z punktu widzenia niemieckich generałów. Pierwszym autorem, które mnie ogarnęło po zamknięciu ostatniej kartki, była — tęsknota. Wielka, żrąca tęsknota do wolności słowa! Abstrahuję bowiem w tej chwili czy autor ma rację, czy jej nie ma przedstawiając niektórych oficerów niemieckich jako zdecydowanych bohaterów, abstrahując nawet kompletnie od tematu, od narodowości. Wszystko mi jedno czy napisane jest o Polakach, Niemcach, Portugalczykach, Buzme-nach, Indianach, czy Islandczykach, z którymi w Brytanii właśnie ukończyła wojnę. Nie temat książki, a prawo pisania, wypowiedziania i drukowania przekonań mniejszości wbrew poglądom większości jest tematem godnym tęsknoty, nawet żeby ta mniejszość miała się sprowadzać do postaci osobnoistnej jednostki autora i postokroć nie miała racji. Bez obawy ze strony autora; że zostanie napiętnowany, zbojkotowany, usunięty z posady, czy jakiegos związku, do którego należy; że będzie podlegał sądom obywatelskim, honorowym, zawodowym, spotka się z uchwałą, orzeczeniem, wyrokiem protestującym w imię... itd., a jego wydawca będzie się musiał tłumaczyć, że... „przez przeoczenie”, „nieporozumienie”... czy wygięciu w inny jakiś niefortunny sposób wobec „jedynolitej postawy”... „oburzzenia powszechnego”... „zdecydowanej reakcji społeczeństwa”... itp. hamulców zanuadających intelektualny rozwój narodu.

Anglicy „mogą sobie pozwolić”. Ach, jak to nieskończenie dużo! Nie boją się „Kół”, „Organizacji”, „Stowarzyszeń”, „Związków”, „Placówek” z ich przesadami, sekretarzami i żanudami. Książkę taką, jak Liddell Harta można zaatakować równie śmiało, jak można zaatakować równie śmiało, jak

Matka Boska z pośród innych narodów najbardziej lubi Polaków? — Wiem, że kary cielesne są zniesione w szkołach, tym nie mniej nie chciałbym być w skórze ucznia, który by odpowiadał na przykład: „Przed wszystkim nie ma ku temu żadnych dowodów”. Ale nie zdaje mi się, żeby w całej klasie znalazł się choć jeden uczeń, który by tęsknił do podobnie indywidualnej odpowiedzi. To nie jest dziś naszym zawodem. A szkoda. Ja bo osobiście, jak się przynałem na początku, tęsknię doń bardzo.

J. M.

## LIST DO REDAKCJI

Hasło zjednoczenia polskich sił politycznych na emigracji jest na ogół popularne i w zasadzie słuszne. Jeśli dźwigające się Niemcy produkować będą coraz więcej węgla i stali, a emigracja polska coraz więcej kłótni i rozłamów, to jakież będą szanse obrony naszych praw i słusznych interesów? Czyż nie byłobyśmy silniejsi, idąc razem, a nie w rozbięciu? Czy dla dobra sprawy polskiej nie należałoby odłożyć na później różnych zatargów i sporów?

Sęk w tym, że ci, co teraz najgłośniej krzyczą o „jedności celów” i „jedności działania”, a tak ostro zaatakowali rząd p. Tomaszewskiego, właściwie wcale nie chcą zjednoczenia. Może sobie z tego nie zdają sprawy, ale faktycznie dążą nie do zjednoczenia, lecz do przesunięcia w polskim obozie emigracyjnym. Z widowni politycznej mają być usunięte pewne grupy i siły polityczne, a wprowadzone inne, mianowicie: obóz Mikołajczyka.

Jeszcze przed rokiem godzono się co do tego, że w nowej Radzie Narodowej (która przygotowywano od lata 1947) powinni zasiąść przedstawiciele Stronnictwa Ludowego „Wolność” oraz Ligi Niepodległości. Od stycznia 1946 r. „Wolność” należy do Rady Stronnictw Politycznych, była tam traktowana na równi z innymi partiami, a jeszcze w jesieni zeszłego roku, gdy do Paryża wyjeżdżała delegacja Rady Stronnictw Politycznych, nie sprzeciwiano się udziałowi delegata „Wolności”. Od stycznia 1949 r. coś się zmieniło. Dowiedzieliśmy się z pewnego tygodnika paryskiego, że to P.S.L. mogło decydować o tym, czy P. Stypułkowski pojedzie na zjazd „European Movement” i dowiadujemy się z różnych innych artykułów i notatek, że istnieje, jeśli chodzi o kraj ludowcowy, tylko P.S.L. Dawny partner, i sojusznik z lat 1946—48, znika. „Wolność” była dobra, gdy chodziło o podpisywanie różnych protestów przeciwko reżymowi w Polsce lub memoriałom w obronie prawowitych władz w Londynie, gdy chodziło o wspólne wystąpienia antysowieckie. Ale teraz nie. Zgodzono się, że mogą być socjaliści, którzy nie przeszli na stronę Osóbki i Cyrankiewicza, że mogą być „niepodległościowcy” chadecy i inni. Ale ludowcy, którzy nie

## STANOWISKO EPISKOPATU

Słynne „ultimatum” reżimu pod adresem Kościoła Katolickiego w Polsce, zawierające, jak pamiętamy, żądania niemożliwe do przyjęcia, doczekało się pośredniej przynajmniej odpowiedzi. Jest nią List Pastorski Episkopatowi, odczytany w kościołach całej Polski, w niedzielę 24-go kwietnia. Biskupi polscy odwierają stanowczo wszelkie stawiane pod adresem Kościoła zarzuty „niełojalności” i wzywają społeczeństwo, by nie wierzło głośnym i złą wolą podkötowanym oskarżeniom. Pełna treść Listu nie dotarła dotąd zagrańcę, brak jej, oczywiście, w prasie krajowej. Tegóż dnia Episkopat zebrał się w Gnieźnie na naradę.

Z okazji świąt Wielkanocy ks. Prymas Stefan Wyszyński wystosował List Pastorski do uchodźstwa polskiego. Zawiodomwisy Polaków na emigracji o objęciu rządów pasterskich nad osieroconymi stolicami arcybiskupimi w Gnieźnie i w Warszawie, wspomniawszy serdecznie swego poprzednika s.p. Kardynała Hłonda oraz przesławszy braciom-katolikom na obczyźnie pozdrowienie pokoju Chrystusowego „w

pełnej zgodzie myśli i uczucia, pragnień i modłityw, czynów i słowa,” ks. Prymas Wyszyński pisze:

„Serce nasze zwrócone jest ku Wam” (2 Kor. 6, 11), „gdziekolwiek jesteście poza granicami Polski rozproszeni, Wy kość z kości naszej i krew z krwi naszej, tak w Europie i Ameryce, jak na całej kuli ziemskiej.”

„Myślą wybiegam do Was, kochani Rodacy i śię Wam serdeczne pozdrowienie z kraju i ojcowiska błogosławieństwo z nadzieją, że godnie spełnicie swe posłannictwo na emigracji. Strzeżcie ducha emigracji. Strzeżcie ducha wiary, by krzepić nim serca. Odcinajcie się Duchem Chrystusowym od zalewu niewiary, pielegnujcie głębokie życie religijne. Uświęcajcie swe dusze, a modłitiw Waszą wymódlcie lepsze jutro światu.”

Z głęboką czią, miłością i wzruszeniem czytamy stanowcze, jasne słowa naszego Prymasa, będące nakazem... i wyznaniem wiary w naszą pracę. Wiary tej, jaką Kraj w nas pokłada ustami swego Pasterza, nie wolno nam zawięść. Chodzi przede wszystkim, nawołując ks. Prymas, o „zgodę myśli i uczuć, czynów i słowa”!

Krzysztof Nienacki

## CZWARTA ŻONA SINOBRÓDEGO

Pierwsza była czarna i złota jak wnetrze katedry sewilskiej — poddańczo uległa w objęciu choć córka królewskiego domu. Druga była kruczka i różowa jak kamelia rzucona na cienne tło akşamitu — miała ambicję i upór ale potknęła się zaraz u progu tronu. Trzecia była flegmatyczna i biała, bardzo kochana przez swego królewskiego małżonka. Poczuwa przeciętność, jedna z niewielu, które umarły śmiercią naturalną, została Henrykowi upragnionego księcia Walii. Król po jej śmierci wpadł w tak wielką melancholię, że wielu sądziło iż dumny Tudor przeniósł się do wieczności. Kiedy jednak kilku obywateli rozebrano do naga i uszy im obcięto za rozpuszczanie fałszywych pogłosek — dopiero wtedy reszta uwierzyła, że ich monarcha wciąż jeszcze żyje w pełni sił fizycznych i umysłowych...

Niedługo jak w tydzień po pogrzebie bladookiej Jane dwór rozpoczął intrzygi dla nowego ożenku króla — tym razem politycznego. Zwracano się w stronę Francji, aby wyluskać ją z obozu katolickiego, który coraz mocniej się przeciw Henrykowi cementował. Królowi podobala się Madame de Longueville i co dzień powtarzała posłowi francuskiemu: „Sam jestem wielki i potrzebuję dużej żony”. Na co tamten odpowiadał nieźmiennie: „Wasza Wysokość pragnęłaby pewnie wypróbować wszystkie nasze księżniczki i wziąć tę, która najlepiej się

wciąż pod okiem matki, krótko trzymana na prowincjonalnym dworze niemieckim — małżeństwo z Henrykiem uważała za wielką szansę życiową. Wotton, który chciał ją obejrzeć do kładnie nim zda sprawę królowi, narzekał na zbyt wielkie przybranie głowy, zacinającą twarz. „Czyżby wasza miłość chciała ją zobaczyć naga?” — zapytał oburzony kanclerz. Anna nie była piękna, miała nawet ślady po ospie, ale jej wygląd i postawa zdrażały obok pewnej dobroduszości także charakter nielada. Nie umiała ani szyć ani grać ale lubiła pochłaniać wielkie ilości piwa.

Narzeczeni spotkali się w Southampton. Królowi na widok przyszłej żony opadła dolna warga i obdarzyłszy ją jednym spojrzeniem kazał natychmiast uwięzić Wottona, sprawcę nieszczęsnych zaręczyn. Sam Henryk miał w tym czasie pod pięćdziesiątkę i rozczarowanie było obopólne, zwłaszcza że w czasie przydługiej podróży Anna upatrzyła sobie młodego człowieka z orszaku i jemu przysięgła wierność aż do grobu...

Henryk szalał. Cromwell omal nie przepłacił głową. Inni, zamieszani w afery mówili, że są sorry, że dobrze nie widzieli, że wydawała im się inna. „Przynajmniej ma postawę i majestat królewski.” To była prawda.

Nadszedł dzień zaślubin. Henryk jęknął tylko „O Anglio, jakich ty ofiar ode mnie żądasz?” i potulnie poplać do ołtarza. Cromwell dawał ślub. Na drugi dzień zjawił się u króla, aby zapytać jak podobala się obłubienica. „Wcale — odpowiedział król — popatrzyłem tylko na górną część jej tułowia i to zniechęciło mnie do dalszych odkryć.” Anna, która w całym tym zamieszaniu zachowała całkowicie zimną krew, nie miała także żadnej ochoty, aby jej małżeństwo było czymś więcej niż formą. Była praktyczna i niesentymentalna i jedynym jej pragnieniem było posiadanie osobistej swobody i niezależności. To co dzisiaj wydaje się każdej kobiecie rzeczą najwykleszą w świecie, wówczas było niemal nie do osiągnięcia. Anna wyrwała się z niemieckiego partykularza na szeroki świat ale teraz czekało ją zadanie nietawne: jak uchronić głowę i rozejść się z królem w zgodzie tak, aby otrzymać pieniądze odszkodowanie.

Nie miała na kogo liczyć prócz na własną inteligencję i spryt. Na drugi dzień już zorientowała się, że groźny monarcha ma wszelkie cechy pantoflarza w domowym pojęciu. Anna potrafiła to cudownie wykorzystywać. Zabawnym paradoksem jest to, że żyjąc z nim najmniej blisko potrafiła go poznać do gruntu. Nie wielu ludzi, nawet z najbliższego otoczenia, rozumiało króla tak bez reszty. Potrafiła dojrzeć pod jego okrutną maską szczerze cierpiące i zawiedzione serce, a pod pozorami hataśliwego bufona śmiertelne znużenie sobą, dworem i światem.

Z początku wola narodu pchała ich

Po pewnym czasie Anna rozejrzawszy się dokoła zdecydowała, że czas aby podesunąć mężowi jedną z dam dworu. Znając jego kochliwość ani na chwilę nie wąpiła, że tu leży droga jej uwolnienia. Wybór jej padł na pulchną Katarzynę Howard — Anna łatwo wybaczala urodę drugiej kobiecie, nie tolerowała natomiast przy sobie inteligencji kobiecej większej niż jej własna. Henryk oczywiście z naiwnością dziecka dał się wieść na pasku żony wprost w ramiona jej następczyni. I niezadługo Cromwell dostał polecenie rozwiązania małżeństwa niemieckiego. Ironia losu sprawiła, że Norfolk, który popierał Katarzynę był osobistym wrogiem Cromwella. Oskarżył go o zdradę i Cromwell został stracony w taki sam sposób, w jaki poprzednio wielu ludzi poszło na śmierć za jego poduszecznictwo. Koło fortuny rozpedzone jego ręką przgnyiotło go ostatecznie. Henryk nie wzruszył się losem niedawnego przyjaciela, dołożył tylko starań, aby olbrzymi majątek Cromwella dostał się w jego ręce. Anna zaś nie miała czasu, aby myśleć o swym popieczniku. Nie żeby pozbawiona była współczucia. Ona wiedziała już zbyt dobrze, że w oparach intrzyg dworskich każdy kto pozwoli się wieść imuskom powoduje tą drogą, którą poszli inni...

Po śmierci Cromwella, który jedynie mógł się sprzeciwić rozwodowi, nie było już przeszkód dla rozłączenia. Anna przesiadła się do Richmond i bardzo rozsądnie i drobiazgowo przygotowała listę wydatków i pensyj jakich żądała jako odszkodowania. Anna postanowiła pozostać w Anglii. Jej własne sprawy sercowe ją do tego skłaniały, a o prowincji niemieckiej myślała z przerażeniem. Z dużym wysiłkiem uspokoiła matkę i brata, którzy gotowi byli rozpetać skandal z powodu zachowania Henryka. Od króla wydosłała 4 tys. funtów rocznie i dwa pałace w Richmond i Blechingly, a także niezliczone mnóstwo klejnotów. Niekochana żona została lepiej wyposażona niż młoda obłubienica. Odtąd uważana była za siostrę króla i jej miejsce w hierarchii dworskiej miało być zaraz po królowej. Nawet jej niemiecka rodzina nie miała już powodu narzekać.

Przy tym wpływ jej na króla faktycznie nie zmniejszył się wcale. Katarzyna Howard prędko doszła do przekonania, że lepszy młody kochanek niż stary mąż i w parę miesięcy po ślubie powędrowała na szafot. Po tym incydencie król postarzał się widocznie i zaczął zapadać na zdrowiu. Wtedy nadszedł dla Anny moment, aby znów odegrać pewną rolę. Wdzięczny jest najpiękniejszemu z ludzkich uczuć a ostatecznie Henrykowi zawdzięczała tak wiele. Teraz dumny Tudor niegroźny już był jak wyleciały lew, któremu na zawsze przartyto pazury. Anna, żyjąc szczęśliwie w odosobnieniu z człowiekiem, którego kochała i wybrała bez przymusu, postanowiła z bogactwa swego szczęścia zrobić idąco klejnoty królowiowi

społeczności...". itp. i niechcąc zadowalających intelektualny rozwój narodu.

Anglicy „mogą sobie pozwolić”. Ach, jak to nieskończenie dużo! Nie boją się „Kół”, „Organizacji”, „Stowarzyszeń”, „Związków”, „Placówek” z ich prezesami, sekretarzami i zarządami. Książkę taką, jak Liddell Harta można zaatakować równie śmiało, jak śmiało jest napisana. Dyskusja, która by się w ten sposób wytworzyła, jakby z znakomicie rozszerzać mogła horyzonty myślowe, zamiast zamykać je na klucz więzienny w celach kilku papuzych cel wyłamać można chyba tylko dla dostania się pod pretekst opinii publicznej.

Cytowałem kiedyś, że propaganda hitlerowska, aby obrzydzić Anglię, wpadła na pomysł wydania książki o jej okrucieństwach w Afryce, Indiach i różnych innych częściach świata, okrucieństwach wykonywanych przez samych Anglików, głośno, publicznie i drukami. Cóż za idealna wolność słowa — pomyślałem sobie wtedy; wtedy, t. zn. w najbardziej ponurym okresie totalitarnej okupacji.

Oczywiście Anglia jest dla Anglików, nie dla Polaków, stąd nie możemy korzystać z prerogatyw mówienia im prawdy w oczy, którąbyśmy nieraz mówić chcieli, ale z drugiej strony nie mówimy jej również samym sobie.

Nie jestem pewien, kto to wymyślił i rozpowszechnił, że Polacy są narodem warcholów, indywidualistów. Osobście nie zgadzam się z tym potocznie utartym poglądem. Może tak było za czasów Liberum Veto, ale dziś? Wręcz przeciwnie, wydaje się, że przeżywamy okres kompletnej atrofii odwagi cywilnej i stanowimy materiał raczej dla koncepcji totalitarnych. Nabożny respekt przed aktywną większością i jej przemok, zamiłowanie do sloganów, do utartych hasel i utartych ścieżek, z których nikomu nie chce się schodzić. A przede wszystkim paradoks: cechą stała się narodowa niechęć do indywidualizmu, jako... do cechującej nas rzekomo wady narodowej.

Z tymi wadami wydaje się mi też tak, że wybrałymi sobie za narodowe, takie z ich liczby (bo bez wad nie ma narodu), które od biedy idą najlepiej „do twarzą”. Jestem przekonany, że częściej oklamujemy siebie właśnie, wytykając swoje rzekomo charakterystyczne wady, niż gloryfikując się w auto-panegirykach.

Styszałem, że niedawno w jednej ze szkół polskich w Londynie zadano dzieciom następujące, skąd inąd ładne, pytanie do rozwiązania: „Dlaczego

tych władz w Londynie, gdy chodziło o wspólne wystąpienia antysowieckie. Ale teraz nie. Zgodzono się, że mogą być socjaliści, którzy nie przeszli na stronę Osóbki i Cyrankiewicza, że mogą być „niepodległościowi” chade-ci i inni. Ale ludowcy, którzy nie uznali rządu Bieruta? A brzo Boże! To nie ludowcy, mówi się nam teraz, to — sanacja!

Nie dziwię się natomiast, że to określenie wysuwane jest przeciw „Lid-żem Niepodległości”. Ale w tym wznowieniu zajadłej kampanii przeciw temu obozowi trudno doszukać się logiki lub dobrych obcyżajów politycznych. Przecież ci sami ludzie, którzy wywlekają to, co nas tak bardzo dzieliło w latach 1926—39, w swoich wydanictwach postanawiają sobie unikać wszystkiego, coby mogło podrażnić niertutnych zwolenników eksperymentu jałtańskiego. Mówi się, że dla dobra Polski lepiej o tym zapomnieć lub pozostawić historii sąd o tym, co się działo w latach 1945—47. Głosowanie za rządem Osóbki, uchwalenie kredytów na „Bezpiekę”, na wzięcia, w których zginęło tylu prawdziwych Polaków, ustaw, zatwierdzających oderwanie wschodniej Polski, to wszystko ma być albo zapomniane albo odłożone do rozpatrzenia w dalekiej przyszłości.

Przypuśmy na chwilę, że tak należałoby zrobić, ale w takim razie dla czego koniecznie wyciągać na wierzch spory z lat 1926—39?

Ja należałem wówczas do opozycji, nie zapomniałem o tym, co się wtedy działo, nie zmieniam mej opinii i nadal stoję na stanowisku, że niektórzy ludzie nie powinni się ponownie wysuwać na widownię polityczną. Ale w ciągu prawie 10 lat, jakie nas dzieli od upadku rządów pomajowych, dawni opozycjoniści i sanatorzy często razem pracowali i walczyli o wyzwolenie Polski. Pracowali razem w różnych biurach, placówkach, instytucjach społecznych. Walczyli, przelewali krew i ginęli na licznych pobojowiskach. Razem też bronili praw Polski do granicy Traktatu Ryskiego, razem potępiali gwałty komunistyczne, razem bronili idei ciągłości prawnej Państwa Polskiego.

A to teraz nagle ma się to wszystko zmienić. Dobrzy są ci, co w r. 1945 poszli próbować, czy da się współpracować z komunistami, ale biada tym, którzy kiedyś należeli do B.B.W.R. lub do Ozonu! Chyba, że na czas zmienili chorągiewkę i wstąpili do jakiejś lewicowej partii.

Można wracać do wydarzeń z maja 1926 r., ale być może, że wtedy inni sięgnę do rzezi ulanów w Krakowie w r. 1923, do zamordowania Prez. Narutowicza w r. 1922, a jeszcze inni do walk narodowców z socjalistami w r. 1905. Można i tak, ale czy nas to zbliży do celu? Czy ułatwi zjednoczenie sił?

Ale bo też pewnym grupom wcale nie chodzi o zjednoczenie, lecz o prze-

jętowanie Rosji sama wypada jakoby blado, okrutna zapawa, ale nieszczerą przed wszystkim: tak jakby jej potworność była czymś co przyszło z zewnątrz, a nie wyrosło z niej samej, z jej trzewi, z tych moskali „sympatycznych”, z tych konduktorek „przyjaznych” (choć brudnych), z tych „dobrych” pielegniarek, z tych westchnień „sława Bohu”. Polska była, jest słaba, beznadna, krzywdzona, sztyryczowana, nie w winy Becka, czy Rydza, lecz dlatego, że ta słabość, kobiecość, nawroty depresji i podniecenia, sny na jawie i nieumiejętność obliczenia szans i możliwości tkwią w nas, we mnie, w Czapskim, w starcach sejmikujących w partiach, w dzieciach co warszawskie powstanie wywołały. Ohyda, ponura ohyda Rosji tkwi w jej narodzie, w jej ludzie, w jej niemowlętach i w kopułach Wasilja Błażeniawo, i w rosyjskiej poezji, i w tych strasznych bezbożnych zwrotkach Bielego, które Czapski tak często cytuje:

„Rassija, Rassija, Rassija  
Messija griaduszczawo dnia”.

„Mesjasz rzeczywiście!

Już ten sam Bielży miał znaczenie  
życze wyzucie prawdy gdy pisał:

„Dawolno, nie źdi, nie nadziejsia,  
Rassiejsia moj biednyj narod”...

Ach kiedyż się ten naród rozproszył! Rozproszył, rozbił, rozleci, rozłupi, rozpyli, rozsieje, rozwoje, rozwali, rozdrobniczeje aż wreszcie go diabli raz na zawsze wezmą z jego poezji, literatury, szukaniem Boga, prawostawiem, i krajem całym przekłętym, i Petersburgiem, i białymi nocami, i Moskwą, i Wołgą, i arikami i wspaniałym tym co w tej krainie szatana można jeszcze dostrzec.

Ze wszystkich książek, które czytałem o Rosji sowieckiej — a czytać ich musiałem tak wiele — jedna tylko wydała mi się dziełem genialnym, wiecznotrwałym: „Ciemność w południe” Koestlera, i przyznam, że wołę ją w tłumaczeniu Terleckiego, niż w oryginalne. Częściowo to kwestia wrażliwości: w malarstwie wołę małą predellę Fra Lippi od wielkich fresków Veroneza, czy nawet Michała Anioła. Dramat indywidualny bardziej wzrusza od zgonu tysięcy czy milionów ludzi. Rubaszew Koestlera, tak jak feldfelb Remarque’a — to właśnie genialna umiejętność *wzwięta* tragedii milionów do dramatu jednostki; i dla mnie przynajmniej każda wzmianka o *rzezi* w okopach pierwszej wojny będzie się kojarzyć z tym jednym jednym obrazkiem Remarque’a, kiedy przed atakiem systematyczny feldfelb przygotowuje trumny dla jutrzejszych zwycięzców; i podobnie wszystkie zbrodnie, przeszłe i przyszłe, siewitów ze sceną, gdy pod lampą Gietkina Rubaszew mruży i ociera czerwone spuchnięte oczy. Nikt nigdy całej powieści, czy książki pamiętać nie zdoła: geniusz pisarza polega właśnie na umiejętności stworzenia takiej migawki, która się w mózg wrywa w sposób niezarty. Książka Czapskiego ma wiele pięknych, wzruszających frag-

sunięć sił. Pewne siły i ruchy mają być całkowicie zepchnięte z polskiej sceny politycznej, mają być potępione i zniszczone, inne mają w pełnym blasku wrócić znowu do władzy.

Ci, co teraz rozpalają stare, nieco przycięte spory, mówią wprawdzie o zjednoczeniu, ale nas od niego oddalają.

Stanisław Sopicki

z obozu katolickiego, który co najmniej żyjąc z nim najmniej blisko chciałby go poznać do gruntu. Nie wielu ludzi, nawet z najbliższego otoczenia, rozumiało króla tak bez reszty. Potrafiła dojrzeć pod jego okrutną maską szczerze cierpiące i zawiedzione serce, a pod pozorami hałaśliwego bufona śmiertelne zużycie sobą, dworem i światem.

Z początku wola narodu pchała ich nawzajem w ramiona. Anna pomimo swej brzydoty była bardzo popularna. Londyńczyki pragnęli księcia Yorku, bo pierwszy syn Henryka był chorowity. Damy dworu co dzień pytały królową czy mąż daje jej dowody miłości. „O tak — odpowiadała niezmiennie Anna — co wieczór ołaję mnie w rękę i mówi „dobranoc kochanie.” Prawda jest, że Henryk cierpiał w tym czasie na bezsenność i para grała ze sobą w karty całymi nocami, przy czym Anna stale wygrzywała i niezadługo zebrala sporą sumę. Król pewien był, że oszukuje, ale nigdy nie mógł jej na tym złapać. Mieszkał wtedy w pałacu w Greenwich i kiedy upłynął miesiąc i żadna głowa nie spadała w Towerze dwór i cały Londyn odetchnął.

Anna powitała z entuzjazmem małżeńskie projekty. 34-letnia dziewczyna, Aleksandra Poleska.

## ZWIĄZEK ZIEM POŁUDNIOWO-WSCHODNICH R. P.

## ZWIĄZEK ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH R. P.

urządzają

w sobotę, dnia 14 maja 1949 r.  
w salach Klubu Orła Białego  
2, Albert Gate, Knightsbridge, S.W.1.

## WIECZÓR KRESOWY

z tańcami

Początek o godz. 8.30      Stroje wieczorowe lub wizytowe  
Wstęp 8 sh. — Studenci 5 sh. — Wstęp za okazaniem zaproszenia

Zaproszenia do nabycia u p.p. Gospodyni.  
Przedsprzedaż biletów w Orbisie, Knightsbridge, S.W.1.  
oraz  
w Klubie Orła Białego, 2, Albert Gate, Knightsbridge, S.W.1.

## ELEPHANTEN — APOTHEKE ZURICH I, MARKTGASSE 5.

### WYSYŁKA LEKARSTW DO POLSKI

Na życzenie wysyłamy do Polski wszelkiego rodzaju lekarstwa dla dzieci, chorych i rekonwalescentów.

Wykonujemy natychmiast wszystkie recepty wystawione przez lekarzy w Polsce, szczególnie jeśli chodzi o lekarstwa trudne do nabycia w kraju.

Prosimy nas odwiedzić, lub napisać do nas w języku polskim, a my bardzo chętnie służyliśmy radą. Na życzenia wysyłamy oferty na żądane lekarstwa.

Wszelką korespondencję należy kierować pod niżej wymienionym adresem, w języku polskim:

## ELEPHANTEN — APOTHEKE ZURICH I, MARKTGASSE 6.

Published by: Stefan Tyszkiewicz, 42, Eton Place, Chalk Farm, London N.W.3  
Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin & Co. Press Ltd.  
15, Dunbeved Road North, Thornton Heath, Surrey, Tel.: THO 2727

## ZA LINIĘ CURZONA

prześle Ci paczkę ubezpieczoną  
oraz  
opłaci cło i załatwi licencję

## TAZAB & CO. LTD.

54, Hans Place, London, S.W.1.  
(Cenniki na żądanie)